Konserwator — pablovsky

Od autora: Ku czci firmom przetwarzającym surowce mięsne i produkującym przetwory, podroby i konserwy! Łącznie z porcjowaniem, plasterkowaniem i paczkowaniem, czyli: Hip, Hip, Hurra!

Uwaga: Historia nie zawiera treści (de)moralizatorskich i jest wyłącznie formą parodii. Kogo? Czego? Tego nie wie nikt.

---

pablo pablovsky

jako
Zły Zaskroniec

przedstawia
historię mocno nieprawdziwą (czyżby!?)

p.t. K O N S E R W A T O R

Nie cukier zabija, nie masło! To co zabija?
Ku przestrodze
Przenigdy nie chodź spać z pustym żołądkiem.

Zostałem odkrywcą!
Może nie na miarę Magellana, czy Kolumba, ale jednak poznałem prawdę! Odkryłem kim jest i co robi mój sąsiad z góry, starszy ode mnie o prawie dziesięć lat niejaki Władysław Kuper, syn Wacława.
Nie to, żeby mnie fascynował, kręcił czy coś podobnego! Ot, po prostu!
Powszechnie wiadomo, że warto wiedzieć, kim jest znajomy z góry, dołu albo z przeciwka. A jak jeszcze mamy wiedzę na temat jego zajęcia? Miód i malina!
Jak mawiał mój świętej pamięci dziadek - *sąsiad sąsiadowi oka nie wykole.*
Nie wspominając o tak popularnej w dobie kryzysu - wzajemnej pomocy! Któż z nas nie miał potrzeby biec do sąsiada po szczyptę soli albo kropelkę wódki żołądkowej?

Lubiłem tego łachudrę, starego kawalera. Kiedy mijaliśmy się na schodach, zawsze witał mnie z uśmiechem. Czasami nawet zagadał, a jak już, to przeważnie narzekał chłopina, że ma pod górkę w życiu i nie zawsze starcza mu do pierwszego.
Kiedyś nawet wspomniał, że jest konserwatorem. Nie pytałem o więcej, nie chciałem być wścibski. Jaka robota by nie czekała, dupsko trzeba podnieść, czy człek konserwuje, czy kradnie.
Paląc fajkę na balkonie, zauważyłem, że Władziu co któryś wieczór wychodzi z domu. Nie byłoby w tym nic dziwnego, ale wracał po równej godzinie, targając ciężkie siaty, każdą z logiem Szympansa, znanej sieci delikatesów całodobowych. Ten heroizm, ze względu na pewną systematyczność, nie mógł umknąć mojej uwadze.

I nie umknął!
Początkowo myślałem, że Władysław sponsoruje jakiś browar, ale po zastanowieniu uświadomiłem so-

bie, iż nigdy nie był widziany w stanie wskazującym.
Ba! W częstych, sąsiedzkich konwersacjach na klatce schodowej, w oddechu Kupra nie wyczułem zapachu chmielu.
Kiedyś zapytałem o to moją siostrę, starszą o dziesięć lat Baśkę, ale zdecydowanie zaprzeczyła.
- Piwo? Ee, pan Władek to porządny chłop, nie pije! Pewnie dorabia i złom dźwiga! - rzuciła pomysł w swoim stylu.
- Na chatę złom? A po co? - Ta opcja była mało wiarygodna i nie przypadła mi do gustu.

*

Ostatnio coraz częściej, gdy wskakiwaliśmy z Barbarą pod pierzynę i próbowaliśmy zasnąć, słyszałem nad nami dziwne odgłosy.
Baśka, pomimo moich protestów, spała ze mną w łóżku od czasu, gdy zostałem wdowcem, krótko po stanie wojennym. Obiecała kiedyś naszej nieżyjącej mamusi, że zadba o młodszego brata, nie pozwoli, żeby czuł się kiedykolwiek samotny! A że byłem jedynym młodszym bratem? Inna sprawa, że składając deklarację opieki, miała dwanaście lat, a ja dwa.
Ale Baśka, porządne dziewczę, słowa chciała dotrzymać. Nawet ostatnio, świętując siedemdziesiąte pierwsze urodziny – przyrzekła mamusi, patrząc czule na jej zdjęcie, że „na ile sił starczy, będzie o mnie dbać."
Zgodziłem się na wspólne sypianie pod jedną kołdrą, mając nadzieję, że nie wróci jej mokry koszmar z dzieciństwa! Tego bym nie zniósł.

Odnośnie hałasów na górze. Początkowo starałem się tego nie słyszeć, wmawiałem sobie, że coś w rurach dudni, ostatecznie zrzucałem to na odwiedziny mamy z zaświatów. A może nie mamy, tylko omamy? - zastanawiałem się często.
Jednak po dwóch miesiącach tajemnicze hałasy zaczęły mnie mocno irytować, czara niezdrowej ciekawości została przelana!
- Słyszysz? Znowu! - Szturchnąłem łokciem któregoś wieczoru Baśkę, gdy już po pacierzu miałem ochotę odpłynąć na tamtą stronę rzeczywistości.
- Co znowu, Franuś?
- Ten gulgot na górze, u Władka Kupra! Co tam się wyprawia?!
- Nic nie słyszę. Śpij, do pracy nie wstaniesz albo tramwaj znowu wykoleisz! Jak we wtorek, gdy usnąłeś, kręcąc wajchą! - Obróciła się plecami i naciągnęła kołdrę na głowę. - Czas na emeryturę, Franek! - stęknęła w półśnie nadopiekuńcza siostra.
Pomyślałem, że ma prawo nie słyszeć. Nawinięte na wałki włosy musiały skutecznie uciskać ją w głowę, najwyraźniej zagłuszając dźwięki. Ponadto, z racji wieku, miała pełne prawo kiepsko widzieć i niewiele słyszeć.

Wytężyłem słuch.
To był ten sam gulgot, który pojawiał się co kilka nocy, bodajże od dwóch miesięcy. Oprócz tego, słyszałem jeszcze metaliczny stukot, jakby kto gwoździe wbijał!
Tego było za wiele.
Upewniając się, że moje dziewczę śpi, wsunąłem nogi w laczki, zarzuciłem szlafrok, z szuflady wyciągnąłem latarkę i po cichu wyszedłem na klatkę schodową, udając się do mieszkania, z którego dochodziły tajemnicze dźwięki.
Pech chciał, że schodziła Zawadzka z czwartego piętra, czyli ta, co żadnej mszy w tygodniu nie opuści. Psa na spacer wyprowadzała.

Niestety, fakt ten za późno do mnie dotarł, bo o mało na siebie nie wpadliśmy.
- O, matko! - wrzasnęła.
- Ciiii... Cicho, do diabła! - Zacząłem machać rękami. - To ja, sąsiad z dołu!
- Pan Franciszek?! Kurwa, w imię Ojca i Syna! Co pan z tą latarką po nocy?! Zawału można dostać!
- Zaraz ojca i syna! Zgubiłem coś, a skoro tak, to szukam - syknąłem, nie chcąc zdradzić powodu mojej nocnej eskapady.
Pokręciła z irytacją głową i pociągnęła smycz.
- Chodź, Pikuś, dom wariatów!
Odczekałem chwilę, świecąc latarką po schodach, aż babsztyl i jej kundel wyjdą z klatki. Wszedłem pół piętra wyżej i przyłożyłem ucho do drzwi Władysława Kupra.
Teraz już byłem pewien, że to gulga i stuka u niego! Powinienem zadzwonić, dochodziła północ, ale nie wiedzieć czemu, wstąpił we mnie cham i nacisnąłem klamkę.

Ku mojemu zaskoczeniu, mieszkanie nie było zamknięte. Po cichu wszedłem do korytarza, później pokoju, skąd gulgało.
Nagle stanąłem jak wryty, zatkało mnie!
Za to Kuper na mój widok zaczął wrzeszczeć jak opętany.
- Pan Franek?! - darł się. - Pan Franek?!
- A niby kto? Duch święty? - krzyknąłem. - Władek, co tu się dzieje?!
Chudy jak tyczka sąsiad przestał wreszcie histerycznie wykrzykiwać moje imię, ale niewiele to zmieniło, bo zaczął łapać powietrze niczym karp wyciągnięty z wody!
Żadne słowo z jego ust nie chciało się wydobyć na zewnątrz.
- Kim oni są?! - Wskazałem palcem trzech gości przy stole. - Co tu się wyprawia?!
- Nikomu ani słowa! - wydukał w końcu sąsiad, który blady, w pasiastej piżamie, dysząc nerwowo jak lokomotywa, usiadł na łóżku i wyglądał niczym skazaniec chwilę przed egzekucją.
Stałem i mierzyłem wzrokiem tych trzech. W czarnych garniturach i okularach, siedzieli nieruchomo. Nie licząc koloru skóry, cali byli czarni. Nawet kapelusze mieli identyczne. Wchodząc do pokoju, gulgali między sobą jak indory. Teraz chyba udawali, że mnie nie widzą?
- Co to za jedni, panie Władysławie? - spytałem mocno osłupiały.
- Uchodźcy! - szepnął, rozglądając się nerwowo.
- Jak ci nie wstyd? W tym wieku? - Zmarszczyłem brwi.
- Że niby co? - zapytał ze strachem w oczach.
- Takie głupoty mi wmawiać! A po cholerę tyle tych puszek na podłodze, na stole? Co wy tu robicie, jakieś nocne partyjki pokera, brydża, a może... - przyszła mi do głowy mocno skrzywiona myśl!
- Nie ma mowy, panie Franiu, przecie gadam, to uchodźcy! Z jakiejś planety, czy systemu, do końca nie jestem pewien, ale... te mendy ciągle żrą!
- Zaraz, chwila! To przybysze z innej planety?!
- Właśnie! Kosmici, panie Franciszku. Uszli z jakiejś galaktyki!
- Kosmity?! - Czułem sąsiedzki podstęp. - A czemu oni w tych czarnych garniturach, a nie skafandrach? I co tak ich zamurowało?! - Podszedłem do jednego i szturchnąłem go delikatnie. Sztywny był jak nieboszczyk.
- A skąd mam wiedzieć, pewnie ze strachu, jak sąsiad nas nakryłeś!
- Zamurowało? - powtórzyłem, mocno zdziwiony. Zaczynałem wierzyć Władziowi, tych trzech wyglądało, jakby się z jednego jaja wykluli.
- A po co te żarcie, panie Kuper?! - Pokazałem na stół i podłogę gdzie leżało chyba siedemdziesiąt otwartych puszek z różną zawartością. Sodoma prawie!

- Mówiłem przecież, karmię ich!
- A po cholerę pan utrzymujesz takich darmozjadów? Tyle puszek?!
- Bo żrą niesamowicie! Głodni jak cholera... Długa historia, sąsiedzie! - Władziu zrezygnowany usiadł na łóżku i machnął ręką. - Nie wiem, jak mnie znaleźli, to było dawno, jakieś dziesięć lat? Chyba wtedy, jak my do Unii weszli. Siedzieli na balkonie z mapą i moim adresem. Na samej górze było napisane Polanda. I mieli ulotki reklamowe z jakiejś sieci handlowej, chyba Stonki, a może innej? - Tłumacząc gesty-kulował nerwowo.

Zmierzyłem ich wzrokiem. Jakieś najeźdźcy z Unii? - przeszło mi przez myśl.
- Dlaczego nikogo pan nie zawiadomił? - spytałem.
- Panie Franku, a kto by takiemu staremu uwierzył? Skierowanie na odwyk bym dostał! Zresztą, kiedyś dzwoniłem do Połczatu. Po konsultacji z jakimś redakcyjnym psychologiem, odesłali mnie do NASA. A skąd mam, kurwa, wziąć numer do NASA! - zdenerwował się Władysław. Rzadko przeklinał.
Zastanowiłem się przez chwilę i przyznałem mu rację.
- A co było na tych ulotkach?
- Właśnie te konserwy! Zażądali, żebym im kupił. Wie pan, mielonka turystyczna, tyrolska, pasztecik taki, siaki i owaki. Kupiłem po puszce. Potem po kilka sztuk, tak się zaczęło. Polubili to miejsce.
- Kręcisz pan coś! - Zmarszczyłem czoło. - Skoro to kosmity, to jak po naszemu gadają?!
- No właśnie! Bełkoczą coś, a na tych monitorkach, co mają w łapach, wszystko jest napisane, jakby te esemesy pisali!

W tym momencie jeden z nich zagulgotał. „Gulu gul, gulu gul!" Ten sam dźwięk, który słyszałem od tylu miesięcy, próbując zasnąć.
Podniosłem łapsko jednego. "Spierdalaj i to szybko" - przeczytałem na wyświetlaczu wbudowanym w przegub dłoni.
Zamurowało mnie! Taki brak kultury? To niby do mnie?
Pokazałem mu środkowy palec, ale nie zauważyłem reakcji na mój sympatyczny gest. Z niesmakiem pokręciłem głową.
- A po co żrą te mielonki?!
- Ja się na żarciu nie znam, panie Franku, ale napisali na tym monitorku, że tylko na tej planecie i właśnie w Polandzie można dostać konserwy z tak ogromną ilością witamin.
- Że niby tylko w Polsce?!
Władek przytaknął zrezygnowany. - U nich to największy rarytas, prawie nie do zdobycia.
- U nich?! Znaczy się gdzie, sąsiedzie?
Pokazał palcem w kierunku sufitu.

*

Podrapałem się po brodzie, ciężko zebrać myśli, widząc podobne rzeczy. Albo Kuper i tych trzech robili mnie w bambuko, albo faktycznie mieliśmy do czynienia z najazdem wroga.
- Co to za prochy? - Miałem na myśli owe witaminy.
- Nie mam pojęcia. Dostaję wiadomość SMS, czego sobie życzą, lecę do marketa i kupuję, a na drugi dzień, jak tylko się ściemni, już siedzą na balkonie i żrą! - Kuper podał mi telefon z wiadomością.
- Wczoraj mi to nadali, zaraz po przepowiedni przygody po taktach.
Zacząłem czytać na głos:

"Jutro. Stop. OSIEMDZIESIĄT PIĘĆ puszek. Stop. Lista zakupów. Stop.

E1412, E451i, E407. Stop. Zamienniki. Stop. E450, E452, E339, E250, E301. Stop."

Zgłupiałem.
- A skąd pieniądze, panie Władku na ten hurt? Dają coś?!
Chudzielec podrapał się po reszcie siwych włosów zafrasował, zamyślił. Po chwili machnął ręką, schylił się i spod łóżka wyciągnął znaczących rozmiarów walizkę, po czym otwarł ją i pokazał zawartość.
- O ja pierdolę! - wymsknęło mi się. - Ale bomba! - Nie mogłem oczu oderwać.
- Dziewięćdziesiąt, sześćdziesiąt, dziewięćdziesiąt, panie Franciszku! Trzeci egzemplarz, model udoskonalony! Dmuchany automatycznie, głośność jęku regulowana sutkiem, rozstaw ud zależny od siły wzwodu! – zarumienił się przekupiony przez kosmitów starszy kolega.
- Kosmiczna dupa... Niesamowite! - Gapiłem się jak zaczarowany. Takiej lali moje ziemskie oczy jeszcze nie widziały! A mówią, że nasze baby ładne! - z niedowierzaniem spoglądałem na leżący w walizce cud gulgoczącej techniki.
- Czyli handelek wymienny? - upewniłem się. - Ale po diabła pan ich wpuszczasz? Na balkonie niech gulgają! Spać nie idzie!
Kuper zamknął walizę, wsunął z powrotem pod łóżko i machnął ręką.
- Wpuściłem chłopaków do pokoju, bo zimno. Niech tu konsumują, jeden ma święto i zażyczył sobie E452, ich największy delikates.
- A co to jest? To *e czterysta pięćdziesiąt,* coś tam? Brzmi mało zachęcająco - stwierdziłem.
- Pofilosronan manganu, czy jakoś tak! Ale najwięcej tego gówna w pasztecie z
indyka o smaku papryki. Aha, w wieprzowym z czosnkiem też sporo tego foliposranu! Znam na pamięć skład każdej konserwy, panie Franiu! A to najbardziej nafaszerowana witaminami! - W geście tryumfu podniósł pasztet z indyka.
- Kurwa jego mać! Przecież Baśka tym smarowidłem z indora kanapki do roboty mi robi!
- Znaczy się, siostrzyczka? Do bimby śniadanko? Przykro mi... - Sąsiad ze smutkiem pokręcił głową.
- Chwileczkę, z tego wynika, że te gulgoczące ufoludy zżerają nasze, rodzime konserwy, bo mają najwięcej trucizny?!
- Na to wygląda. Pewnie mają odporny układ trawienny. Napisali mi kiedyś, że nasze zakłady produkcyjne prześcigają się w faszerowaniu wszelakich przetworów tymi witaminami, w ich systemie nie do pomyślenia, stąd ciągłe wizyty na moim balkonie!
Spojrzałem na sztywnych i nie miałem pojęcia, jak pomóc sąsiadowi.
- A kiedy robisz pan zakupy, jak mówiłeś, że jesteś konserwator? Do roboty już nie chodzisz?
- To moja robota właśnie! Jestem konserwatorem!
Zaskoczył mnie! Nie pomyślałem, że chodzi mu o bieganie po konserwy dla tych z matriksa. Z czego w tym układzie żył?! Przecież nie miłością do kosmobaby?
Zniechęcony pokręciłem głową, po tym, co usłyszałem, byłem mocno rozczarowany, że własna siostra faszeruje mnie tymi samymi witaminami, co Władek tych... tych... tych... a chuj, zapomniałem!
- Panie Władysławie, mnie tu nie było! Nie chcę nic wiedzieć! Byle tak głośno nie
gulgali! - Trzasnąłem drzwiami.

*

Pierwsze, co zrobiłem po przyjściu do siebie, to skierowałem się do lodówki i wywaliłem wszystkie przysmaki w puszkach!
Basta! Nie będę żarł tego, co przybysze z systemu! Wziąłem z półki prawdziwego kabanoska, powąchałem i ślina prawie mi skapnęła na laczka.
Klęcząc przed lodówką, jakbym pokutę odprawiał, zacząłem gryźć wędlinkę, przeżuwać, ale jakoś nie

była zbyt miękka. Smak też był daleki od oczekiwanego.
Nagle usłyszałem wrzask Baśki.
- Franek, zostaw!
Postanowiłem szybko dokończyć kabanosa! Zacząłem gryźć, jakbym tydzień nic w ustach nie miał, żarłem go coraz szybciej, a im szybciej gryzłem, kwik Baśki był coraz donośniejszy! Nie poddawałem się jednak, nie miałem najmniejszej ochoty odkładać pachnącej wędliny, żułem coraz mocniej, ale za cholerę nie mogłem przełknąć!
Nagle poczułem uderzenie w łeb!
- Co ty, idioto, wyprawiasz!? Zostaw moje wałki w spokoju, kretynie jeden! - usłyszałem znajomy głos wyraźnie przy uchu!
Ocknąłem się, oprzytomniałem! W ustach miałem wałek Baśki, a na języku pełno owłosienia. W rękach trzymałem jej głowę, patrzały na mnie wściekłe oczy.
Wyplułem szybko wałek na prześcieradło i puściłem z uścisku głowę siostry.
- Kurna! - wrzasnąłem i zacząłem pluć resztką jej siwych włosów. - Wybacz, Baśka, wszystko przez ten gulgot i pasztety! - Usiadłem mocno zdezorientowany na łóżku, krztusząc się co chwila.
- Kompletny idiota! - usłyszałem słowa przebaczenia.

KonieC?

Zły Grzechotnik
31 Luty, 1977

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

pablovsky, dodano 15.02.2014 20:00

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.